

TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOŚI:

W Stanach Zjednoczonych i Conadzie.....\$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyl, Afryki i Australii.....\$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIĘ NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 50. Chicago, Ill., Czwartek, 15-go Grudnia, 1898. Rok XII.

FR. HOFFMAN.

GŁOS PANA NAD PANY.

OPOWIADANIE

DLA MŁODYCH MOICH PRZYJACIÓŁ.

PRZEŁOŻYŁ.

STANISŁAW KUNASIEWICZ.

(Ciąg dalszy.)

“A więc słyszałyście głos Pana nad Pany, o którym wam wczoraj opowiadałem,” zawołał nauczyciel widocznie wzruszony. “To mnie serdecznie cieszy, bo będzie to z korzyścią na całe wasze życie. Kto raz głos Pana nad Pany usłyszał i kto ten głos zrozumiał, ten go często jeszcze usłyszy i zrozumie i dobrze bardzo zrobi, jeżeli głos ten weźmie do serca i pójdzie za nim.”

“Tak z pewnością będziemy czynić,” odpowiedział Stefan, przyjaznie spoglądając na Marylkę, która z uśmiechem rękę mu podała.

Poczem wszyscy razem powrócili do domów. Przez następnych dni kilka niemówiono w całej wsi o niczem innym jak tylko o zatarasowaniu wchodu do pieczary i o wyra-

towaniu dzieci. Jakich dwadzieścia razy musiał Stefan i tak samo Marylka opowiadać wszystkie choćby najmniejsze szczegóły, a więc o ile się bały, jak tę straszną noc przeżyły i t. d. Po kilku jednak tygodniach zapomniano o całym tem wydarzeniu, a przynajmniej niemówiono już o niem. Tylko Stefan i Marylka nie zapomniwały i nieraz później przypominały sobie godziny przeżyte w ciemnej pieczarze i jak to Bóg do nich mówił za pośrednictwem swoich gwiazd niebieskich.

II.

Smierć i choroba.

Kilka lat minęło od owego wydarzenia,

lecz w ciągu tego całego czasu niewydarzyło się nic takiego, coby było godnem wspomnienia. Stefanek i Marylka z każdym rokiem były słuszniejsze, a w czternastym roku bierzmowały się. Po bierzmowaniu zaprzestały chodzić do szkoły, gdyż takową już były skończyły i odtąd musiały rodzicom pomagać w cięższych nawet pracach. Czas zabaw dziecięcych skończył się, minął nie powrotnie, i już niebiegał więcej Stefan z Marylką po lesie. Marylka bowiem musiała teraz pomagać matce w domu i ogrodzie, Stefan zaś był szczerym i ciągłym pomocnikiem ojca. Mimo to jednak zachował tę serdeczną przyjaźń, która ich łączyła w dzieciństwie i kochali się jak brat i siostra. Spotykali się razem jak najregularniej co niedziela i święto w kościele, po nabożeństwie schodzili się razem i opowiadali sobie z najdrobniejszymi szczegółami przygody ubiegłego tygodnia, a potem rozchodzili się, ażeby znowu cały tydzień pracować.

I byłoby niechybnie długo tak jeszcze trwało, gdyby nie niespodziewane wypadki, w skutku których Marylka w zupełnie innym znalazła się położeniu jak dotychczas.

Oto słabość okropna, niełitościwa, która tysiące ludzi już porwała, zagnieździła się i w tej wiosce i zażądała również ofiar. Stało się to właśnie w czasie żniw, a więc w czasie największej spieki słonecznej. Kilku robotników przypadła ona na polu i ci wszyscy pomierali kilka godzin później. Pierwszemi ofiarami tej okropnej słabości byli rodzice biednej Marylki. Odwieszono ich co prędzej do domu, a Marylka czyniła wszystko, co tylko było w jej mocy, ażeby przynieść ulgę cierpiącym i uratować ich życie; wszelkie jednak zabiegi pozostały bez skutku. I teje samej nocy zasnęli ojciec i matka Marylki na wieki, a na drugi dzień siedziała ona przy martwych zwłokach lejąc łzy z żalu, że niełitościwa choroba zabrała jej tych, którzy byli w życiu jedyną jej podporą i jedyną jej obroną.

Zaledwie dowiedział się pocziwy Stefan o tem wszystkim, pobiegł co prędzej do swojej przyjaciółki, ażeby ją pocieszyć i co do przyszłości zaspokoić.

“Bóg dał i Bóg wziął Marylko — mówił do niej. Dopuszczenia Boskie powin-

niśmy cierpliwie znosić a nigdy na nie nie narzekać. Tyś została samą, jednak samą pozostać nie możesz, i dla tego rodzice proszą cię, ażebyś do nich przyszła i naszą małą chatkę za swe rodzinne miejsce uważała. Myśmy wprawdzie sami biedni, ale tem co mamy, tem się z całego serca podzielimy będą cię wszyscy kochać i starać się koić twój żal, o ile to tylko będzie w naszej mocy.

“Stefanie, tyś bardzo dobrym chłopcem — odpowiedziała Marylka i uściśniła rękę swojego przyjaciela — z głębi mojej duszy dziękuję tobie i twoim rodzicom, ale jak na teraz z zaproszenia waszego korzystać nie mogę. Teraz bowiem byłabym wam tylko ciężarem. Pozwólcie mnie wypłakać się naprzód i uspokoić się bodaj trochę, a potem obaczmy, co Bóg dla mnie przeczynał. Wszakżeż przyznasz, że dzisiaj wiedzieć niemożemy, co się jeszcze u was stać może. Niech was niebo chroni, ale, czyż tak samo straszna ta choroba nie może zawitać do was jak zawitała do nas? Byłabym wam wówczas na zawadzie, a pomóż niepodołałabym tak samo tam, jak niepodołałam moim rodzicom. Pozostaw więc mnie bodaj czas jakiś tutaj, dobry Stefanie! Ja teraz w żaden sposób z tobą pójść niemożę — może później — jeżeli Bóg tego zechce! Ja wszystkie nadzieje moje pokładam w Bogu, On się z pewnością ulituje nademną i pocieszy w tem wielkiem nieszczęściu!”

“On już to uczynił, zanim go oto prosiłaś, ty moje dobre, pocziwe dziecię,” odezwała się głosem łagodnym, pełnym współczucia jakaś dama, która niepostrzeżona ani przez jedno, ani przez drugie przed chwilą jeszcze była weszła do izby i ostatnie słowa Marylki słyszała. “Kiedy mnie tylko doniesiono o śmierci twoich rodziców, postanowiłam natychmiast zabrać cię do siebie. I dla tego też tutaj przychodzę. Sądze, że najlepiej uczynisz, jeżeli zaraz zbierzesz się i pójdziesz razem ze mną.”

Kiedy dama ta po raz pierwszy odezwała się, Stefan i Marylka powstali co prędzej z miejsc i powitali ją z głębokiem uszanowaniem. Pani ta, która z prawdziwem współczuciem spoglądała na pochyloną przed nią sierotę, była to hrabina Waldenburg zo-

na właściciela tej wsi, która, daleka od wszelkich obaw przed zaraźliwą chorobą, wyszła ze zamku i przyszła tutaj, ażeby nie- szczęśliwą pocieszyć i jej pomódz.

"Córka moja Matylida — mówiła hrabi- na nieczekając na odpowiedź Marylki — po- trzebuje garderobiany. Zapewne wiesz już o tem że za kilka tygodni zaślubi ona hrabiego Windek, a po ślubie wyjeżdża zaraz do stolicy, gdzie stale zamieszka. Miło więc by- łoby jej zabrać ze sobą jakąś dawną zna- jomą. Mam nadzieję, że i tobie będzie miłą taka propozycja."

"O pani hrabino, pani jesteś dla mnie bardzo łaskawą — odpowiedziała Marylka. — Nie mam słów na podziękowanie pani."

"I tego też zupełnie niepotrzeba, moje dziecko — odpowiedziała hrabina z całą życzliwością. — Dosyć na tem, że zgadzasz się z mojem życzeniem. Jestem przekonana, że córka moja będzie miała wierną służącą, na którą będzie mogła się zupełnie spu- ścić, znam cię bowiem całkiem dobrze, bo od dawna już pilnie uważałam na ciebie. Chodź więc kochane dziewczę, możesz mnie zaraz do zamku odprowadzić."

Zawezwanie to zaskoczyło niespodzianie Marylkę, a jej tak trudno było rozstać się z martwemi ciałami ojca i matki, ona chciała z niemi rozstać się nie prędzej, aż na wie- czny spoczynek do zimnego grobu złożone zostaną. Więc też i powiedziała o tem hra- binie. Hrabina przyjęła tę odpowiedź łaska- wie, nie przystała jednak na to.

"Nie, nie, kochane dziecko, — mówiła hrabina — ta smutna kostnica, to nie miej- sce dla ciebie. O tych umarłych niezapomnę, a ty i tak tu jesteś już niepotrzebną. Ja sama wszystkiem rozporządze. Na pogrzeb całkiem pewnie pozwolę ci pójść, teraz je- dnak nieżyczę sobie, ażebyś tu dłużej bawi- ła, koniecznem jest dla ciebie, ażebyś ten dom pełen smutku i żałoby opuściła i dla tego odprowadzisz mnie do zamku. Więc też i nieociągaj się moje dziecko, bo ja ci pewnie dobrze radzę."

Prawdopodobnie słowa hrabiny przekonąć musiały Marylkę, nieopierała się już bo- wiem dłużej, lecz poczęła wyciągać swoje rzeczy, ażeby je złożyć razem, związać i za- brać ze sobą. Następnie uknęła przy łożu

śmiertelnem rodziców, prosząc Boga o spokój ich dusz, a pomodliwszy się popatrzyła raz jeszcze na te twarze blade, martwe, marmurowe, żegnając je wzrokiem żaławio- nym i dopiero wówczas zebrawszy wszystkie siły, skierowała swe kroki ku drzwiom.

"Niech cię, Bóg strzeże i zachowa wszę- dzie, gdziekolwiek się znajdziesz Stefanie," rzekła na wychodnym do przyjaciela, który stał nieopodal pieca zasmucony do nieda- wna, lecz teraz już pocieszony, że sprawa Marylki taki szczęśliwy obrót wzięła. "Dzie- kuję ci za wszystko, coś dla mnie kiedy- kolwiek uczynił lub zamysłał uczynić. Roz- łączamy się i tak ja, jak i ty pójdziemy od- tąd inną drogą, mam jednakże nadzieję, że z dobrej drogi, którąśmy dotyczyś chodzili, niezejdziemy i niewzejdziemy na tę, która na zatracenie prowadzi. Bądź zdrów Stefanie i niech cię niebo na każdym kroku błogosławi."

"I tak samo ciebie Marylko," odpowie- dział Stefan głosem sflumionym, ze łzami w oczach. "Ja cię nigdy niezapomnę, a gdy- byś kiedykolwiek potrzebowała pomocy przy- jaciela, przypomnij sobie na mnie! Zawsze mnie znajdziesz gotowego stwierdzić czynem to, co teraz powiedziałem."

"Jestem o tem przekonana, bądźże więc zdrów" — odpowiedziała Marylka głosem cichym, całowała i uściskała serdecznie rękę przyjaciela. Poczem zaraz zwróciła się ku pani hrabinie, którą Stefan z wszelkiem u- szanowaniem pożegnał i wyszła wraz z nią z domu smutku i żałoby. Stefan spoglądał długo za nią okiem żaławionem.

"O jakże mnie przykro, zem się z nią rozstać musiał — mruzczał Stefan sam do siebie — dla niej jednak lepiej, że się do dworu dostała. Pani hrabina jest bardzo do- brą panią, więc Marylce będzie u niej, a następnie u hrabiny Matylidy o wiele lepiej jak w naszej małej, biednej chacie. Oby Bóg najlepszy pozwolił, ażeby się jej jak naj- lepiej powodziło!"

Chwilę później nadeszła stara kobieta, której hrabina poleciła postarać się o wszy- stko, co tylko będzie potrzebnem do pogrze- bu rodziców Marylki, Stefan więc niemając tu co robić odszedł do domu. Myślą jednak był zawsze jeszcze przy Marylce, lecz wnet już myśl ta miała się zaprzatnąć czemś zu-

pełnie innym, i bardzo smutnym. W południe bowiem tego samego dnia przyniesiono ojca jego na noszach z pola a zanim zapytał, coby to znaczyć miało, już się przekonał, że powodem była owa straszna choroba.

"O Wszchemocny! więc i jego dopadła!" zawołał przestraszony, "Boże zachowaj ojca mego i opiekuna przy życiu i wydobądź go ze szponów tej strasznej choroby!"

Plącząc i narzekając przybiegła w tej chwili matka, chorego położono do łóżka, zawezwano co prędzej lekarza, w ogóle poczyniono wszystko, co było potrzebnem, ażeby ulżyć choremu i wyczekiwano, jaki skutek to wszystko odniesie. Stefan, który od łóżka nieodstępował i lekarzowi we wszystkim starał się być pomocnym, odważył się zapytać tegoż o skutku zadanych lekarstw i czy jest nadzieja uratowania chorego. Lekarz wzruszył ramionami.

"Napad był bardzo gwałtowny — mówił tenże. Jak na teraz niema żadnego niebezpieczeństwa. Któż jednak może zaręczyć, że napad się niepowtórzy, wówczas ratunek byłby bardzo trudnym a może nawet i niemożliwym. Obecnie chory śpi, poczekajmy więc, aż się zbudzi, a skoro się tylko zbudzi, daj mnie znać natychmiast. W tej chwili bowiem jestem tu niepotrzebnym, a tam mnie inni chorzy czekają."

Lekarz odszedł a Stefan usiadł na stołku tuż zaraz przy łożu chorego, niespuszczając z niego oka. Serce mu się krajało, siedział jednak i śledził każdy oddech chorego. Matka płakała i załamywała ręce.

"O Panie! o Boże! co z nami stanie, kiedy on umrze?" jęczała szlochając, Stefan zaś nieznalazł dla niej słów pociechy, bo on tak samo był zrozpaczony.

Dzień skończył się, nastąpiła ciemna noc a choremu niebyło wcale lepiej. Co więcej Stefanowi zdawało się, jakoby oddech chorego był znacznie krótszy, a nawet, że chory już całkiem oddychać przestał. Przerazony tem porwał się z miejsca i zapalił świecę a kiedy z nią przystąpił do łóżka przekonał się za pierwszym spojrzeniem, że to łożo śmierci. Nieruchoma, blada, z zamkniętymi oczami spoczywała głowa ojca jego na poduszce, pierś zaś niepodnosiła się

ani spadała, ponieważ oddychać już przestał. Spokojnie zupełnie przeniósł się do wieczności.

Stefan płakał, a biedna matka jego lamentowała z rozpaczą. Nadaremnie starał się Stefan pocieszyć ją i uspokoić, i nie prędzej skończył się ten lament, aż około północy, kiedy ze zmęczenia tak osłabła, że na stołku, na którym siedziała, usnęła. Stefan podniósł ją ostrożnie i położył lekko na łóżko, skąd udał się również na spozynek. Osłabienie, i zupełnie wyczerpanie sił sprowadziły w niedługim czasie i na jego powieki sen.

I obudził się dopiero, kiedy już słońce jasno oświecało izbę, w której odpoczywał; obudził się, aby na nowo cierpieć i gryźć się. Nieszczęsny bowiem los uwziął się, dalej go jeszcze przesładować. W chwili kiedy się obudził, zdawało mu się, że słyszy głośne stękanie matki, a zaraz potem jakoby wołanie głosem stłumionym. Przestraszony, zeskoczył co prędzej z postania i pobiegł do izby, w której matki łóżko stało.

Niestety! to co zdawało mu się przed chwilą było rzeczywistością, a rzeczywistość ta, jakby nożem przebiła mu serce. Matkę pochwyliła w swe szpony ta sama choroba, która już tyle ofiar porwała.

Biedny Stefan z wielkiego przestachu postradał przytomność, nie wiedział co robić, jak radzić. Za wiele nieszczęść zważyło się od razu na głowę jego, on sam już począł wierzyć, że pod tyłoma i takimi ciosami i on sam upaść będzie musiał. Tam leżał jego ojciec blady i zimny, tu matka walczyła ze śmiercią, a on pośród nich sam, bez wszelkiej pomocy, bez wszelkiej rady, ludność bowiem wiejska tak się była przerażała tymi częstymi wypadkami śmierci, że za żadne pieniądze niebyłaby się była podjęła pielęgnowania chorego.

A jednak trza było koniecznie uczynić coś, ażeby ratować matkę. On sam nie lekał się tej choroby, ani obawiał się, a więc sam najprzód poczynił wszystko to, coby matce ulgę przynieść mogło, pokrywał ją ciepło, podał jej to same lekarstwo, które przed niedawnem ojciec zazywał, a skoro obaczył, że się troszeczkę uspokoiła, pobiegł do sąsiada najbliższego, ażeby go u-

prosić, by poszedł do lekarza i o chorobie matki go zawiadomił. Tak okropnie wyglądał Stefan, kiedy przybiegł do chaty sąsiada, że tenże niezdolał oprzeć się jego prośbom i przyrzekł czynić to, o co Stefan prosił. Otrzymawszy przyrzeczenie, wrócił z pospiechem Stefan do matki.

Kilka godzin minęło zanim się lekarz pojawił w progu chaty. Stefan powitał go jakby zesłańca z nieba.

"Panie, ratuj moją matkę," błagał go z złożonymi jak do modlitwy rękami i wzrokiem załzawionym. "Gdyby bezlitośna choroba i ją jeszcze zabrała, zostałbym już tylko sam jeden na świecie."

"Biedny mój chłopcze," odpowiedział lekarz z współczuciem — "bądź przekonany, że uczynię wszystko, ażeby zachować twą matkę przy życiu, niewiem jednak czy wiedza moja potrafi pokonać tę straszną chorobę. Najlepsza pomoc to ta, którą niebo zysła. Módl się więc do Boga i proś Go, ażeby matkę zachował przy życiu."

Poczem poczynił wszystko, co tylko było potrzebnem i dał Stefanowi wskazówki, jak ma chorą pielęgnować.

"Nadzieję możesz mieć jeszcze — mówił do niego — jeżeli się tylko kurcze nie powtórzą, może być uratowaną. Nierozpaczaj biedny chłopcze, lecz ufaj Bogu. On wie najlepiej, czego nam dla naszego dobra i zbawienia potrzeba. Wieczorem przyjdę tu raz jeszcze, ażeby zobaczyć, co się z chorą dzieje."

Ani się spostrzegł Stefan kiedy dzień się skończył, tak bowiem zajęty był pielęgnowaniem chorej matki, tak pilnie czuwał nad nią. O jedzeniu i piciu zapomniał także i dopiero wieczorem, kiedy się matka uspokoiła i zasnęła, uczuł się bardzo zmęczonym, siły opuściły go, usiadł więc na pół omdlały przy łóżku matki, a rozpaloną głową swoją oparł o krawędź tegoż. Tak odpoczywającego zastał go lekarz. Spojrzawszy na niego przestraszył się — blade policzki Stefana i przymglone oczy były tego powodem.

"Oho, chłopcze — zawołał — czy i ty miałbyś już mieć napad? A, toby była piękna historia! Mów zaraz, co tobie takiego, co cię boli?"

"Nie mnie nie boli, — odpowiedział Stefan głosem słabym — jam zdrów zupełnie, tylko trochę zmęczony jestem. Ale to niebawem przejdzie."

"Wyglądasz zaprawdę, jakbyś z głodu umierał — mówił lekarz. — Czy ty dzisiaj zupełnie nie niejadłeś?"

"Najprzód nie miałem czasu, a następnie i nie myślałem o tem," — odpowiedział Stefan. — "Wszakże musiałem przez cały dzień być przy matce."

"Jeżeli tak jest, więc dziwić się niemożna, że tak wyglądasz i żeś prawie omdlały. Przestrach, natężenie, a do tego głód i pragnienie, tego i najsilniejszy tak łatwo nie wytrzyma. Natychmiast musisz co zjeść i to koniecznie, a więc dalej do szpitala! Przecież znajdziesz tam bodaj cośkolwiek, a jeżeli tam niczego niema, w takim razie trzeba się postarać. Idź, idź i zjedz co, a ja tymczasem oglądnę twoją matkę. Ależ tu wcale nie jest gorzej, lecz owszem znaczne zastaje, polepszenie! Teraz wolno już mieć nadzieję, że ją uratujemy!"

Słowa ostatnie lekarza pokrępiły Stefana tak, jakby to żaden napój, i żadne jałdło uczynić były niemogły. Porwał się z miejsca i wzrokiem pełnym radości spojrział na niego.

"Panie, czy rzeczywiście tak jest? czy masz Pan nadzieję?" zapytał.

"Tak, tak, mój chłopcze, tak jest rzeczywiście," odpowiedział lekarz. "Tylko zapominaj, że wielka bardzo zachodzi różnica pomiędzy nadzieją a pewnością. A teraz pójdź ze już raz i posił się, inaczej stan twego zdrowia będzie wzniecał więcej obaw, jak stan zdrowia matki."

Stefan nieociągał się dłużej i usłuchał rad lekarza. Zjadł prędko kawałek chleba, wypił szklankę wody i powrócił pokrzepiony do łóżka chorej matki.

"Tak, to dobrze — mówił lekarz — teraz już zupełnie inaczej wyglądasz, jak przedtem. Zostawiam tutaj tę flaszeczkę, w razie gdyby się matka obudziła dasz jej dziesięć kropel tego płynu, który się wewnątrz znajduje. Jutro rano przyjdę znowu do was, a tymczasem niech was Bóg strzeże."

Lekarz odszedł, a Stefan widząc, że ciemna noc zapadła, zapalił świecę, przysunął tołek do samego łóżka matki, usiadł na

nim iż jak największą uwagą począł śledzić każde poruszenie chorej. Tak przechodziła godzina po godzinie do samej północy. A o północy wydarzyło się znowu coś, co najprzód wzbudziło w nim podziw, następnie wzniciło przestrach, w końcu jednak wpłynęło bardzo korzystnie na uspokojenie serca i wlało w pierś jego otuchę.

III.

Kto się w opiekę odda Panu swemu.

Było już około północy, kiedy Stefana opanowała dziwna jakaś trwoga. Niepodobnem było dlań dłużej siedzieć tak spokojnie jak dotychczas, jakaś siła tajemnica ciągnęła go na podwórze, zdawało mu się, że potrzebuje koniecznie odetchnąć świeżem powietrzem. Matka spała zupełnie spokojnie, sądził więc, że wolno mu na minut kilka wyjść z izby. Cicho powstał z krzesła, nachylił nad łóżkiem matki, a przekonawszy się, że matka śpi, pomaleńku na palcach wyszedł na podwórze. Chłodne, nocne powietrze orzeźwiło go znacznie, począł oddychać pełną pierśią. Niezliczone roje gwiazd lśniły na firmamencie, chmurki choćby najmniejszej nigdzie dojrzeć nie można było, a sierp księżycowy srebrzył się w oddali. Grobowa cisza panowała — około i nie jej nie przerywało, chyba od czasu do czasu odezwanie się przepiórki. Stefan podniósł wzrok swój do nieba, a myśli jego i uczucia wybiegły jeszcze dalej, aż tam poza gwiazdy do źródła wszystkiego dobrego do Ojca wszechświata, który na niego samotnego zdawał się spoglądać tysiącami ócz błyszczących.

“Wszchemocny panie w niebie! wspomóż mnie, i nie opuszczaj w nieszczęściu,” szepnął, złożywszy ręce jak do modlitwy. “Wszyscy mnie opuścili, bądź więc ty moją pociechą, moją podporą, moją ucieczką! Wszak znasz Panie serce moje, wiesz jaka je zdjęta trwoga, więc wspomóż mnie, bo tylko ty jeden możesz mnie wspomódz, wysłuchaj mojego błagania i objaw swoją łaską niebieską i dobroć!”

I począł nasłuchiwać, czy nie usłyszy czegoś, z czego mógłby wnioskować, że Pan wysłuchał modłów jego. Ta sama jednak cisza grobowa co i dawniej panowała wokoło, gwiazdki również tak samo świeciły, a tylko sierp księżycy srebrzył się trochę niżej. Stefan czekał jeszcze minut kilka, ażeby usłyszeć głos Pana nad Pany zwiastujący mu pociechę. Lecz znowu nadaremnie, nieusłyszał bowiem nic, jak tylko lekkie muskanie wiatru koronami drzew, szmer niedalekiego strumyka i klekot młyna w oddali. Dziwna jakaś trwoga opanowywała coraz bardziej serce jego, gorące łzy cisnęły się załośnie do ócz, a najstraszniejsze zwątpienie zawiadnęło duszą jego.

“Niebo milczy, Bóg niewysłuchał modlitwy mojej,” szeptał rozpaczony i pochylił głowę na piersi.

Nagle rozświetlił precudny meteor noc czarną, i przesłiznął się sypiąc iskrami pod sklepienie niebieskie, a w końcu gasnąc spuścił deszcz świecących iskierek. Na Stefana niespodziewane to zjawisko wywarło wrażenie, zadumał się, niewiedział jak je wytłumaczyć.

‘Czy to był znak przez Ciebie dany, Ojciec niebieski?’ szepnął po chwili. O pozwól mnie karmić się nadzieją, ażebym nie uległ pod ciosami!”

Zatopiony w myślach pozostał jeszcze chwilkę na podwórzu, gdy w tem coś jakby szmer czy szelest doleciał do uszów jego z wnętrza chaty. Może to matka przebudziła się i potrzebuje jego? Coprędzej więc powrócił do izby, a pierwsze spojrzenie jego spoczęło na łóżku chorej. Matka leżała wprawdzie na niem, nie spała jednak już jak dawniej. Oczy miała otwarte, wlepione w sufit, boleść wykrzywiła jej twarz, a ręce drżały kurczowo. Okrycie tak było porzucane, jakby się chora w boleściach wila. Stefan przyskoczył jak najszybciej, ażeby ją ciepło ponakrywać, kiedy jednak dotknął się jej ręki, przekonał się, że zimna była jak lód i pokryta zimnym potem.

“Mamo! Na miły Bóg, mamo moja, co tobie takiego?” wołał przestraszony. “Mamo, czy ci się gorzej zrobiło? Powiedz! Przemów do mnie choćby jednym słowem!”

Chora matka musiała to wołanie usły-

szczę i zrozumieć, spojrzęła bowiem na niego, i poruszała ustami, jak gdyby mówić chciała, miasto jednak słów, wydarł się tylko jęk z piersi. Zaraz potem zamknęła znowu oczy, złożyła ręce i już leżała nieruchomie.

"O, matko moja! — zawodził Stefan — ty umierasz, a ja niepotrafię nic takiego uczynić, cohy ci pomódz mogło!"

I w rzeczy samej chora wyglądała tak, jakby już anioł śmierci odprowadzał duszę jej do króla jasności. Błada i nieruchoma leżała, co więcej Stefanowi zdawało się nawet, że już nieoddycha. Zrozpaczony usiadł na łóżu matki i łkając oparł głowę o poduszki. Biedny czuł się okropnie nieszczęśliwym i osamotnionym. Niemiał bowiem już nikogo, któryby go kochał i żywił dla niego jakieś współczucie, — ojciec zasnął tym snem, w którym się już nigdy nie nie śni, jedyną jaką miał przyjaciółkę zabrano mu, może na zawsze, a teraz to ostatnie i jedyne serce jakie jeszcze dla niego biło, serce matki zamilkło także. Za wiele było tych nieszczęść w tak krótkim czasie, toż i nie dziw, że złamały go one, że się ugiął pod ich biżemieniem i zrozpaczył.

Inaczej wyglądało teraz w tej chacie, jak przed niedawnem, izby wydawały się jakoś strasznie puste, cisza zaległa je, przerywana tylko szlochaniem Stefana i poruszeniem kótek i wag zegarowych. Lampa dogorywała, raz więc jaśniej, to znowu ciemnej oświetlała blade twarze zmarłych, którzy całkiem spokojnie odpoczywali na śmiertelnej pościeli po znojach i troskach życia. Stefan siedział przy łóżku oparłszy głowę o poduszki, a całe ciało jego drżało wskutku spazmatycznego szlochania, od którego jak się zdaje, nie mógł się powstrzymać.

Raptem oderwał głowę od poduszki i powstał. Długo, bardzo długo niestyszane tony obleciały do uszów jego.

Dawniej, przed laty stary zegar ścienny chwilę przed wybięciem godziny dwuustej grał pieśń nabożną, później jednak stuczny przyrząd popsuł się, więc go też od tego czasu Stefan i nienakręcał. Co więcej w obec zamieszania jakie panowało w domu zapomniął nawet podciągnąć wagi zegarowe — a mimo to nie tylko zegar nieza-

trzymał się lecz nadto zagrał dawno niesłyszaną pieśń nabożną. Zdziwiony tem Stefan spoglądał na stary dobrze mu znany zegar, jakby na widmo jakie a zarazem poczynał nabierać odwagi, jakby na widok jakichś dobrze wróżących znaków, czy cudów. Zagadki jednak niepotrafił rozwiązać. Gdyby sklepienie niebios runęło było na ziemię, mniej byłoby go to zadziwiło aniżeli to, że stary zegar ścienny począł dzisiaj właśnie ową miluchną pieśń nabożną, wygrywać. A do tego jak grał? To też miasto niedawnego przestachu malowało się głębokie wzruszenie teraz na twarzy Stefana, ręce złożył jak do modlitwy, a czerwone od płaczu oczy podniósł ku niebu.

"To Twój głos Panie nad Pany," szepnęła i począł mimowolnie po cichutku śpiewać ową pieśń, którą zegar grał! "Kto się w opiekę odda Panu swemu, i całym sercem szczerze ufa Jemu, śmiało rzecz może mam obrońcę Boga, nieprzyjdzie na mnie żadna straszna trwoga!"

Po niejakiem czasie ucichł zegar, a wraz z nim i Stefan przestał śpiewać — pieśń jednak ta, którą zegar odegrał pocieszyła go iście cudownie a spokojnie niebiański począł kość zakrwawione serce jego; zdawało się jakoby miluchne tony zabrały wszelką troskę od niego wraz z sobą i uleczyły zbolełą duszę.

"To cud się stał!" szeptał sam do siebie — "dobry Bóg niezapomniał o mnie, nieopuścił mnie, On mówił do mnie, i mnie małoduszemu przypomniał, że On był wnie cznie najlepszym ojcem. Dzięki Ci Panie w niebiesiech! Odtąd cokolwiek na mnie zesłesz, cierpienie, czy radość wszystko przyjmę z rąk Twoich pokornie i wdzięcznie bez szemrania i bez skarg. Amen!"

W teje samej chwili raz jeszcze silniej błysnęła lampa i zgasła, a czarna noc spuściła swą zastonę w izbie.

Stefan czuwał jeszcze chwilę i podśluchiwał nie już jednak nie usłyszał, jak tylko jednostajne tik-tak zegara, które go do snu skołysało, ręce zsunęły mu się bezwiednie, oczy przymknęły, zasnął.

Stefanie! synu mój!" — zawołał ktoś głosem słabym na drugi dzień raniutko, kiedy zaledwie pierwsze promienie słońca

czne oświeciły izdebkę — “podaj mi wodę, mam bowiem pragnienie!”

Stefan otworzył oczy, okrzyk radości wydobył się z ust jego, porwał się z miejsca, przyskoczył do łóżka matki i upadł przed nim na kolana.

“Mamo, kochana mamo moja, więc ty żyjesz jeszcze!” zawołał.

“Tak, dzięki Bogu,” odpowiedziała matka. “Bóg strzegł mnie, spałam długo i spokojnie, a teraz tak mnie jakoś lekko i dobrze, że mogłabym nawet wstać z tego łóżka. Tylko pragnienie czuję wielkie, gardło zupełnie wyschło.”

“O temu zaraz zaradzimy,” zawołał Stefan radośnie, i przyniósł napój orzeźwiający płyn i przyłożył naczynie starannie do ust jej. Piła długo, a napiwszy się uczuła się znacznie pokrzepioną. Oczy jej błyszczały jasno i spoglądały ze wzruszeniem na Stefana.

“Dziękuję ci, mój synu!” mówiła. “Jakże mnie się dobrze zrobiło. Zdaje mnie się teraz, jakby źródło zdrowia sączyło się do żył moich.”

“Mamo moja ty niepojmujesz, jak ja z tego szczęśliwy jestem,” odpowiedział Stefan głosem pełnym czułości. “Musisz jednak mateczko pozostać w łóżku, dopóki lekarz nieprzyjdzie. Przyrzekł mi, że nas zaraz rano odwiedzi, ażeby zobaczyć, co się z tobą dzieje. Zanim więc nie przyjdzie musisz być cierpliwą kochana mateczko.”

“Niech i tak będzie jakkolwiek czuje, że to niepotrzebne, bo pożyłam się już siabości,” — odpowiedziała matka. “Ale ty, ty biedny Stefanie, tyś to miał gorzkie godziny w tych dniach ostatnich.”

“Ciężkie były i bolesne mateczko”, odpowiedział Stefan. — “Lecz Pan nad Pany, Bóg nasz nie opuścił mnie, przemówił do mnie i pocieszył. Gdyby nie ta wiara i nie zaufanie jakie pokładałem w ojeu niebieskim, byłbym niechybnie nie przeżył tych ciężkich dni ostatnich.”

I zaczął opowiadać matce ze wszystkimi szczegółami co widział i słyszał zeszłej nocy, jak okropnie bolał kiedy powróciwszy z podwórza spojrzął na matkę, a ta mu się umarłą wydała i jak znowu owa miluchna pieśń nabożna, którą satry zegar ścienny odegrał pocieszyła go.

“Dobry Bóg nasz uczynił cud dla mnie — mówił Stefan, kończąc swoje opowiadanie — “i nie inaczej, kiedy nienakrecony zegar nie tylko nie stanął, lecz co więcej zagrał tę miluchną a dawno niesłyszaną pieśń.”

“Bajki, bajki — zawołał lekarz, który niepostrzeżony ani przez matkę, ani przez Stefana wszedł by do izby i koniec opowiadania słyszał — dzisiaj nie dzieją się już cuda jakkolwiek i to — co najmniej połowę cudu nazwałby należało, — że matkę twoją widzę tak czerstwą i uśmiechnętą. No i jakżeż tam mateczko, wyglądacie dzisiaj wcale dobrze! Czy kurcze już się niepowtórzyły, a bóle tak samo ustąpiły?”

“Tak, panie doktorze, kurcze już mnie więcej niemieczą, a bólu nieczuję również żadnego — odpowiedziała matka. Być może, jestem jeszcze trochę osłabioną, zaledwie jednak daję mi się to uczuć”.

“Mimo to wszystko, musicie koniecznie dzień cały dzisiejszy przeleżeć jeszcze w łóżku i zażywać krople na wzmocnienie, które wam zapiszę — mówił lekarz — jutro w imię Boze, możecie wstać z łóżka. A z tobą jakżeż kochany mój Stefanie! jakże ty się masz dzisiaj, zdrówes, wesół, powiedzże?”

“Nietylko zdrów i wesół, panie doktorze, ale i niewymownie szczęśliw z wyzdrowienia matki — odpowiedział Stefan. — Po tem, co się tutaj tej nocy działo, nie byłbym nigdy uwierzył, gdyby mnie kto był nawet zapewniał, że dzisiaj rano obaczę matkę żyjącą i zdrową. Zaprawdę powiadam ci panie, tu nie co innego stało się, tylko Bóg ulitował się nad nami i uczynił cud!”

“Co ty wciąż o tym cudzie tak prawisz, Stefanie? — zagadnął lekarz. — Widzisz przecie, że matka silnie jest zbudowaną, i wiesz, że zawsze zdrową była, więc już natura sama dzielnie pomagała naszym środkom leczniczym, a zatem niema tu cudu żadnego, tak bowiem stać się musiało, kurcze musiały ustąpić”

“A jednak mnie się wciąż zdaje, że w tem coś więcej być jeszcze musi — odpowiedział Stefan, rozważając. — Posłuchaj pan tylko, panie doktorze, co się tutaj i to właśnie o samej północy wydarzyło.”

I zaczął opowiadać, a lekarz uśmiechając się słuchał tego opowiadania.

"Zaprzeczyć się nieda, że szczególnie to wypadek, cud jednakże pewnie nie — odpowiedział lekarz. — Wypadek ten da się w różny sposób wytłumaczyć. I tak naprzykład, cóżbyś powiedział, jeżeli to ja byłem tym, który niepotrzebony przez nikogo widząc, że zegar staje, tenże nakręcił?"

Jakto, czy w rzeczy samej Pan, panie doktorze uczyniłeś to?" — zawołał Stefan żywo. "Proszę cię, powiedz szczerą prawdę!"

"Jeżeli chodzi o szczerą prawdę, w takim razie wyznać muszę, że ja tego nieuczyniłem, — odpowiedział lekarz poważnie, jak dotychczas. — Lecz czyż niemógł tego kto inny uczynić, ty może nawet sam w chwili nieprzytomności umysłu i dlatego niepamiętasz? Wypadki takie zdarzały się już nieraz, a ten który właśnie to uczynił niemógł sobie później w żaden sposób przypomnieć. Albo — mówił lekarz dalej, widząc, że Stefan niedowierzająco kiwa głową. — odpowiedziałeś właśnie przed chwilą, żeś łóżko chorej, kiedy powróciłeś o północy z podwórza do izby, zastał w nieładzie, — niemogłaś więc matka porwać się z niego w gorączce i zegar nakręcić. Niepodobnem to nie jest, a dziwić się wcale nie można, że o tem niepamięta i przypomnieć sobie tego dzisiaj niemoże. Ludzie w malignie nieraz już niejedną dziwne rzeczy porobili i dla tego milej byłoby mnie, gdybyś szczególnie ten wypadek, którego się wydarzył w nocy w taki lub temu podobny sposób tłómaczył, aniżeli głosił, że Bóg cud działał nad wami. Bądź pewnym, że dobry Bóg nieposyła swoich aniołów na ziemię, ażeby zegary nakręcali, lub inne tego rodzaju sprawy tutaj załatwiali. Powinieneś o tem już od dawna wiedzieć, kochany mój chłopcze."

Zawstydzony Stefan schylił swój wzrok ku ziemi, po niedługim jednak czasie podniósł go i spojrzął na lekarza, który stał nieopodal niego i trochę szyderczo uśmiechał się.

"Tłumacz pan to, jak chcesz — mówił łagodnie — mimo to jednak wyznać muszę, że wypadek ten wpłynął na mnie iście cudownie, a w serce moje wlał niebieską pociechę. Ja wierzyłem, że słyszę głos Pana

nad Pany do mnie mówiący, i czułem jak ten głos dodaje mnie siły i otuchy."

"W to wierzę chętnie, jakkolwiek co do cudu przed chwilą dopiero wyraziłem moje powątpiewanie. — odpowiedział lekarz całkiem poważnie i podał Stefanowi rękę. — Jeżeli tylko kocha się Boga całą myślą, całym sercem i całą duszą i w tej myśli, sercu i duszy panuje tylko Bóg, natenczas można, a przynajmniej zdawać nam się będzie, że Go widzimy i słyszymy. A to w niektórych razach jest tak samo dobrem i skutecznem, jak gdyby w rzeczywistości tak było. Głos Pana nad Pany, czy on z tamtąd z góry, z niebios do nas przemawia, czy w naszym wnętrzu za pośrednictwem sumienia, czucia i myśli jest zawsze jednym i tym samym głosem Pana nad Pany, i każdy z nas uczyni bardzo dobrze, jeżeli usłucha tego głosu i pójdzie za nim, niezaprowadzi on go bowiem nigdy na bezdroża. Lecz dosyć już tego — obowiązki moje wzywają mnie, a wezwanie to jest również głosem Pana nad Pany, którego usłuchać należy. Jutro zajrzę tu znowu, do widzenia więc do jutra!"

Sprzecznych, wręcz przeciwnych uczuć doznawał dnia tego Stefan. Rano był niewymownie szczęśliwy z wyzdrowienia matki, popołudniu bolał okropnie obaczywszy pachotków, którzy przyszli zabrać ciało nieboszczyka ojca, ażeby je pogrzebać. Na szczęście spała biedna matka w tymczasie, kiedy pachotki nadeszli, a trumnę wyniesiono tak po cichu, że ją nawet nieprzebudzono. Pocziwy lekarz postarał się o kobietę i przysłał takową, ażeby Stefan mógł odprowadzić ojca na wieczny spoczynek. Poszedł więc biedak za trumną i rzucił, kiedy ją spuszczano do grobu zanosząc się od płaczu, trzy grudki ziemi, poczem ukląkł na świeżej mogile i modlił się długo o spokój duszy ukochanego ojca i dopiero potem z zakrwawionem sercem powrócił do domu. Jakkolwiek nieszczęście, które go dotknęło, było bardzo wielkie, nader więc boleśnie dało mu się takowe uczuć, zawsze jednak pozostała mu jeszcze i pociecha — a tą pociechą jedną i jedyną była matka.

O nią więc starać się, troszczyć i dla niej pracować, ażeby ją na jej stare lata od

niedostatku ochronić — było teraz zadaniem jego życia poprzysiągł więc w duszy, że je spełni sumiennie. A dokonawszy tej przysięgi powtórzył raz jeszcze:

“Kto się w opiekę odda Panu swemu
I całym sercem szczerze ufa jemu,
Śmiało rzec może: mam obrońcę Boga,
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna
trwoga.” I słowa te prawdziwie cudownie
wpłynęły na uspokojenie zbolatego serca
jego.

IV.

I niewódź nas na pokusę.

I znowu mijał dzień jeden po drugim aż nareszcie i owa straszna choroba porwawszy liczne ofiary wyniosła się ze wsi, a miejsce jej zajęły dawne, dobrze znane, dzienne kłopoty i troski. Nie można więc było siedzieć bezczynnie i rozpaczać, że ojca zabrała zaraza, lub biadać, że Marylka z nową swą panią, młodą hrabiną Windek wyjechała do stolicy. Pogrzeb i choroba pociągnęły wydatki, pochłonęły więc owe szczupłe zapasy, jakie matka uciutała była na wypadek nieszczęścia. Trza więc było koniecznie pracować z całym wytężeniem sił, pracować nieopuszczając całymi dniami chaty ojcowskiej, ażeby widmo głodu niezawitało; i Stefan w rzeczy samej pracował pilnie bardzo nie tracąc ani chwili czasu. Pracował od wczesnego rana, aż do późnej nocy i nieociągał się od żadnej roboty, jakakolwiek ona była. Pracując w ten sposób wraz z matką, która wyzdrowiawszy i powróciwszy do sił pomagała mu całymi dniami, potrafił zarobić na dzienne utrzymanie domu, dopóki zima mienadeszła. Wraz bowiem z nadejściem tejże, niejedno źródło dochodu zamknęło się. Nadeszły teraz dnie, w których Stefan mimo najszczerszych chęci niemógł znaleźć roboty, i tem kłopotał się niemało. Do dziedzica niechciał iść i prosić o zapomogę, bo każda jałmużna była mu wstrętną i wstydził się zebrać. Najwięcej mieszkańców tej wsi byli tak samo ubo-

dzy, jak on, tych zaś niewielu, którzy byli majątniejsi, mieli dosyć służby, niemogli mu pomódz, ażeby bodaj cokolwiek zarobił.

Godzinami całymi siedział Stefan, myślał i łamał sobie głowę, ażeby wynaleźć sposób, któryby kres położył tej strasznej bezczynności. Niezdołał jednak tego sposobu wymyśleć, a tak samo jak on również i matka jego.

“Musimy się ograniczyć, o ile to tylko da się uczynić, jak najbardziej — mówiła matka. — Ziemniaków, dzięki Bogu dosyć mamy w piwnicy, zimę więc będziemy mogli jako tako przeżyć, a z wiosną znajdziemy niemało zajęcia. Bądź więc dobrej myśli i niechodź po całych dniach tak z zwieszoną głową. Troska nie nam niepomocze.”

Ze nic niepomocze o tem wiedział Stefan — mimo to jednak biedził się i bolał, a to właśnie przez wzgląd na matkę. Bo jeżeli ona przez całą zimę niczego więcej jeść niebędzie, jak tylko same ziemniaki posypane odrobiną soli, łatwo bardzo może się rozchorować, a tego najbardziej lękał się Stefan. O siebie nietroszczył się wcale, był młody, zdrow, mógł więc wiele znieść i przecierpieć, ale matka, która już była starą, a nadto jeszcze i słabą! Ona potrzebowała jakich takich bodaj wygod i innego pożywienia i dla tego serce jego krwawiło się ilekroć pomyślał, że ani na jedno ani na drugie zapracować niemoże.

Pewnego dnia wybrał się do lasu, ażeby jak to dawniej czynił wspólnie z Marylką, nazbierać suchych gałęzi. Zatopiony w myślach zaszedł dalej, aniżeli tego było potrzeba, słońce świeciło jasno, a powietrze jakkolwiek było zimne, było jednak czyste i orzeźwiająca. I to było prawdopodobnie powodem, że Stefan niezatrzymał się, lecz szedł wciąż dalej. A nadto, chociaż to była zima, las dzisiaj wyglądał cudownie pięknie. Przez kilka dni przedtem padał śnieg, każda więc gałązka owinięta była błyszczącymi krzysztalami, które przy świetle słonecznym lśniły jakby najdroższe kamienie. Po miękkim śniegu kroczył Stefan jakby po dywanie jakim i nieczuł ani zmęczenia, ani zimna. Czasami zatrzęsła gałązkami wywiórka, skacząc z nieporównaną zręcznością z jednej gałęzi na drugą, czasami znowu

chód Stefana spłoszył sarnę, która porwawszy się z legowiska i dużemi oczami spoglądawszy na niego coprędzej pomknęła w najbliższą gęstwinię, czasami zając przebiegł mu drogę, albo lis z za krzaka wyciągnął swą szczwaną, chytrą główkę — krótkomówiąc, cudownie pięknie było dzisiaj w lesie, wszędzie widzieć można było ślady życia, a nadto od czasu do czasu nową jakąś odmianę. Stefan więc szedł coraz dalej, aż zaszedł na polankę, gdzie go głos jakiś szorstki, mimo to jednak przyjaźnie brzmiący — całkiem niespodzianie przywitał.

“Oho! kóż to przychodzi pośród zimy do mej samotni? Jak mnie się zdaje to ty Stefanie! Jakżeś mnie pożądanym i miłym mój chłopcze.”

Stefan spojrział w tej chwili i obaczył słusznego, silnie zbudowanego mężczyznę, który stał przy dymiącej węglarni, a ogromnym drągiem z taką łatwością grzebał w ogniu i rozniecał tenże, jakby laseczką jaką. Stefan znał dobrze tego człowieka, był on bowiem z tejże samej wsi, większą jednak część swego życia spędzał w lesie, gdzie ścinał drzewa, rznął takowe piłą na kawałki, rozłupywał i węglarstwem się zatrudniał.

“Dzień dobry, Urbanie Wolf, — odpowiedział na powitanie. — Nigdy nie byłym przypuszczał nawet, że tak głęboko w las zaszedłem. Ale to tak zwykle bywa, jak się idzie zatopiony w myślach, wówczas zapomina się o drodze i niezwraca się uwagi na godzinę.”

“Ty zatopiony w myślach? — zapytał olbrzymi węglarz, uśmiechając się dobronnie. — Chciałbym przecież wiedzieć w jakiego rodzaju myślach zatapia się taki chłopczyna!”

“Smutne to i żałobne myśli,” odpowiedział Stefan, a kiedy wymawiał te słowa twarz jego miała tak żałośny wyraz, że węglarz nie tylko przestał śmiać się, ale co więcej począł na niego spoglądać badawczo.

“Co to znaczy..... ty w istocie wyglądasz tak, jakbyś był chorym! — mówił węglarz. — Cóż ci brakuje?”

“Zabrakło mnie roboty, Urbanie!” od-

czego tak zatopiłem się w myślach. Lecz jakżeś niezatapiał się w myślach? Wszak wiesz, że kiedy niema zarobku niema i chleba. Trwożę się o biedną matkę moją! Za całe pozywienie służą jej tylko ziemniaki; uwzględnicie wiek jej, to przyznacie, że pozywienietakie na utrzymanie zdrowia jej korzystnie wpłynąć nie może!”

“Tak, to prawda, przedewszystkiem zaś teraz, kiedy przed niedawnem dopiero zaledwie uszła śmierci, która już po nią swoje suche, kościste ramiona wyciągała,” odpowiedział węglarz, kiwnąwszy po kłakroć głową na dowód, że się zgadza z rozumowaniem Stefana.

Po chwili milczenia zagadnął znowu węglarz:

“Posłuchajno Stefanie, jabym znalazł dla ciebie robotę, jeżeli tylko robotę tę zechciałbyś przyjąć?”

“Ależ każda, powiadam wam Urbanie, byleby tylko była uczciwą,” odpowiedział Stefan, nienamyslając się. “Przed żadną nie cofnę się, bylebym tylko mógł pomódz matce mojej!”

“A więc i przed okopconą twarzą i zbrukanemi rękami niecofniesz się?” pytał dalej Urban.

“Zapewniam was, że nie!” odpowiedział szybko Stefan.

“Kiedy tak, więc znalazłeś to, za czem szukałeś — to jest robotę! — prawili dalej poczciwy węglarz. — Ja, jak widzisz siedzę sam tylko w tem samotnem ustroniu, więc nieraz ta samotność dawała się dotkliwie uczuć i dlatego od dawna już postanowiłem przyjąć kogoś do pomocy. Ludzie jednak nasi mają wstręt do węglarstwa i zrębywania drzew, bo w rzeczy samej nie jest to robota lekka, a i czysto przy niej wygląda niemożna, krótko mówiąc, komukolwiek tylko zaproponowałem, ażeby przyszedł i był mnie pomocnym, każdy odmówił. Jeżeli więc ty masz po temu ochotę to i zaraz możemy się ugodzić Na tydzień płacić ci będę dwa talary, a oprócz tego będziesz miał cały wikt u mnie daremnie. Więc cóż, jak myślisz?”

“Jak myślę — odpowiedział Stefan uradowany — ja myślę, że oświadczenie wasze jest wyborne, że więc należy się odtąd

talary już są ładnym groszem dla takich biednych ludzi, jak my, będzie więc mogła matka kupić nie jedno za nie, czego jej na stare lata koniecznie potrzeba. Dziękuję wam serdecznie majstrze Urbanie i bądźcie przekonani, że uczynię wszystko, co tylko będzie w mej mocy, ażeby was zadowolnić."

"Ja też i czegoś podobnego spodziewam się po tobie, mój chłopcze -- odpowiedział węglarz szczerze. — A więc sprawa ukończona, umowa pomiędzy nami zawarta, i dla tego jutro zaraz rano przyjdź do lasu."

"Z całą pewnością przyjdę jutro," odpowiedział Stefan i na znak zupełnej zgody podniósł rękę i uderzył nią w wyciągniętą, silną dłoń węglarza. "Jedno tylko jeszcze, proszę powiedźcie mnie, czy ja będę musiał przez całą zimę tutaj pozostać?"

"Boże broń!" odpowiedział węglarz śmiejąc się. "Każdej soboty wieczorem wolno ci będzie pobiedz do domu i całą niedzielę przepędzić w towarzystwie matki. Wszakże musisz odnieść jej swój zarobek, a zresztą, niezapominaj, że w piśmie świętem stoi napisane "pamiętaj, abyś dzień święty święcił." Jest to przykazanie a przykazaniu winniśmy być posłuszni."

"O kiedy tak to bardzo dobrze!" zawołał uradowany Stefan. "Skoro bowiem matka dowie się, że wolno mnie będzie odwiedzać ją od czasu do czasu, chętniej zezwoli, abym tu do was jutro przyszedł, a ja za to znowu weselej zabiorę się do roboty."

"Ja myślę, że my się łatwo pogodzimy," mówił węglarz uśmiechając się — "i ze obojgnie będziemy zadowoleni. Czas jednak, ażebyś się zajął zbieraniem gałęzi, pełno ich tu wszędzie, bierz więc, ile tylko unieść potrafisz i dalej w drogę z powrotem. Najdalej bowiem za dwie godziny będzie już zupełnie ciemno, a spory kawał masz do domu."

Stefanowi niepotrzeba było dwa razy powtarzać. W kilku minutach nabił drzewa tyle, ile potrzeba było na dzień cały i pożegnawszy serdecznie Urbana, zawrócił ku domowi. Za ledwie wrócił, opowiedział zaraz matce o układzie, jaki zrobił z węglarzem, a biedna matka zgodziła się na ten układ, jakkolwiek było to dla niej bar-

bardzo przykrem, że odtąd syna całymi tygodniami widzieć nie będzie mogła. Zgodziła się jednak, bo się zgodzić musiała i starszka pocieszała się już tylko tem, że syna bodaj w niedzielę oglądać będzie mogła.

Zaraz rano dnia następnego poszedł Stefan do lasu i wstąpił do służby u węglarza. Z początku siekiera była dlań trochę za ciężką, niebyle bowiem przyzwyczajony do takiej roboty, niezrażał się tem jednak, nieustał w robocie, to też i po kilkunastu uderzeniach szło już jakoś łatwiej. Po kilku zaś tygodniach, tak już był z niego Urban zadowolony, że otwarcie wyznał mu, że lepszego pomocnika niemógłby nigdy znaleźć.

Na takiej to robocie przeszła część zimy, nadszedł styczeń i styczeń miał się już ku końcowi, kiedy zdarzył się wypadek, który nie mało zgryzot sprawił biednemu Stefanowi. Od kilku dni już pracował on pod ów czas wraz z majstrem Urbanem, nad powaleniem ogromnego buka i dziś właśnie ciężka ta robota miała się ukończyć. Skoro tylko zaświtało, wyszli natychmiast z domu a uderzenie siekier rozlegało się już od dawna po całym lesie. Dzień był posepny, niebo pokryte całe chmurami, a od czasu do czasu silny wiatr trząsł ogołoconemi z liści koronami drzew.

"Stefanie musimy się spieszyć," mówił węglarz, spojrzawszy w chwili wycoczynku na niebo i obaczywszy je tak zachmurzone. Prawdopodobnie dzisiaj jeszcze i to już niewątpliwie zawita burza ze śniegiem, zanim więc pocznie się srożyć, musimy uporać się z tym bukiem. A więc dalej, rażno do roboty! Za małą godzinę damy sobie z nim radę, jeżeli tylko ręco zabierzemy się do niego!"

Stefan zabrał się też chwacko, siekierki odtąd podnosiły się i spadały z wielkim pośpiechem i coraz głębiej wsiąkały się w pień starego buka, którego za każdym silnym uderzeniem zdawał się jęczeć i stękać. Tak pilnie obydwaj pracowali i tak byli zajęci tą robotą, że nawet niezauważali, że niebo coraz bardziej chmurzy się, a wiatr coraz to silniej i coraz to częściej wierzchołkami drzew.

"Zaraz z nim się uporamy! — wołał węglarz do Stefana. — Niepotrzebujemy więcej

jak kilkanaście razy uderzyć siekierą po prawej i lewej stronie, a ciężka korona poderwie pień bez wszelkiej z naszej strony pomocy. Widzisz, już się poczyna chylić! A więc dalej, tylko chwacko!"

I znowu zaczęły podnosić się i spadać siekiery, zaledwie jednak kilka dopiero razy je spuszczone, rozszalała się taka okropna burza, i tak gwałtownie poczęła trząść drzewami, że prawie całkiem już podcięty buk niepodołał oprzeć się jej, lecz niespodzianie pochylił się i runął na ziemię. Urban zauważał jeszcze w czas, że buk zaczyna się chylić, a wprawne ucho jego poznało od razu co znaczy ten niebezpieczny łomot i łamanie gałęzi, to też coprędzej krzyknął:

"Na bok Stefanie! Drzewo wali się! Na bok, na tamtą stronę!"

Przerażony i niedoświadczony Stefan wyglądał tak, jakby zamierzał skoczyć w wręcz przeciwną stronę, gdzieby go gałęzie drzew niechybnie były rozmiadziły. Urban więc zauważawszy to, zapomniał, że i jemu ratować się należy, przyskoczył więc do niego i trącił go tak silnie, że tenże przynajmniej kroków dwadzieścia potoczył się. W tejże samej chwili, kiedy to się stało zatrzeszczały gałęzie spadającego wierzchołku — Stefan usłyszał okropny krzyk, który jakby nożem przeszył mu serce — a zaraz potem nastąpiła znowu grobowa cisza.

"Litościwy Boże, co się tutaj stało! Urbanie! Urbanie! — wołał Stefan w rozpacz. — Czyście może przywaleni zostali? na miłość Boga, odezwijcie się!"

Zaczął podsłuchiwać pełen obawy — niejedna minuta przeminęła w śmiertelnej trwodze — nareszcie usłyszał bolesny jęk, którego gdzieś w oddali z pomiędzy połamanych gałęzi wydobywał się. Jakkolwiek jęk ten był bardzo bolesnym, mimo to ucieszył się Stefan postyszawszy go, przekonał się bowiem w ten sposób, że pocziwy węglarz jeszcze żyje.

"Ja spieszę już do was Urbanie! Odwagi tylko! odwagi! wołał Stefan o ile mógł najgłośniej i począł pomiędzy gałęziami torować sobie drogę siekierą. Niemałych wysiłków potrzeba było, zanim się dostał do Urbana. Urban leżał na ziemi, przywalony i gnieciony przez ciężką gałąź, z pod której

niepodołał wydostać się. Błady był, jak nieboszczyk jaki na śmiertelnej pościeli, a drzewo tak go okropnie gnietło, że zaledwie mógł oddychać. Stefan zabrał się co prędzej do usunięcia tego drzewa, siły jednak jego nie wystarczyły na to, ani o włos niepodołał do drzewa poognąć.

"Weź siekierę — jęknął Urban — przerażaj je!"

Stefan porwał za siekierę, zaczął rąbać wycęzając wszystkie siły swoje, mnóstwo trzasek rozlatywało się w około. To też zaledwie minut kilka upłynęło, już mu się odało odciąć ciężką gałąź od pnia, a z odciętej nietrudna już była sprawa. Niebawem więc uwolnił Urbana od straszego ciężaru, którem no pierś prawie rozmiadziły, poczem Urban odetchnąwszy swobodniej, wyciągnął ku niemu rękę z podziękowaniem.

"Dziękuję ci! — mówił głosem słabym. To była prawdziwa pomoc w strasznej potrzebie! Kilka tylko minut później, a byłbym niezawodnie życie postradał."

"Ale powiedzcie przedewszystkiem, dobry, kochany Urbanie, jakże się macie? — zapytał go Stefan pełen trwogi. — Czyście nie skaleczeni? Nie czujecie bardzo wielkiego bólu? A może jaka kość złamaną została? Mówcież!"

Urban uśmiechnął się — nietrudno domyśleć się, że trochę boleśnie.

"Sądze, że nic złamanego niezostało — odpowiedział głosem słabym — ręce i nogi zdają się być całe i zdrowe — tylko pierś strasznie została zmiadzoną, i dlatego ażeby odetchnąć lub mówić muszę się natezać, a to sprawia ból okropny. Mimo to, mam nadzieję, że jakoś da się temu zaradzić. Przedewszystkiem jednak potrzeba nam dostać się do chaty, tutaj bowiem pod gołem niebem dłużej leżeć niemożę. I tak rozpoczyna się już śniegawica!"

I w rzeczy samej gesty śnieg począł się spadać z nieba, a burza poczęła na nowo tak strasznie szaleć, że wierzchołki drzew niepodoławszy oprzeć się jej, chyliły się aż ku ziemi. Urban chciał podźwignąć się; Stefan pomagał mu jak mógł, ból jednak tak ścisnął mu pierś, że upadł omdlały na ziemię, jęknąwszy tylko.

"Niepodobnem, podnieść się!" szepnął.

„Jakto niepodobnem, musicie podnieść się! tutaj przecież pozostać niemożecie!” mówił Stefan decydująco. „Na szczęście chaty nasza ztąd niedaleko, ja czuję się dosyć silnym, więc was tam zaniosę.”

Urban chciał się wprawdzie sprzeciwić temu, ale Stefan zebrawszy wszystkie siły wziął go na ręce jak się zwykle dzieci nosi, i zaniósł do chaty. Tutaj położył go na łóżko i poczynił wszystko, ażeby my tylko było jak najwygodniej. Urban zezwalał na wszystko, niesprzeciwiał się niczemu, bo był tak osłabiony, jakby był bliskim omdlenia.

„Tymczasem zostaniecie sami — mówił Stefan — zapewniam was jednak, że wróce o ile to tylko będzie możliwym jak najszybciej. Pobiegnę prędko. Niebezpieczeństwo jakie wam grozi, może jest większe aniżeli mam się obydwóm zdaje, i dlatego chcę sprowadzić tutaj lekarza.”

„Tylko nie teraz! tylko nie podczas tej burzy ze śniegiem! — mówił Urban. — Mógłbyś łatwo zabłąkać się i zamarzłbyś w śniegu ze zimna. Nie, to być niemoże, ja już wolę cierpliwie znosić te wszystkie bóle do jutra rana, jak dopuścić, abyś się miał narażać na tak wielkie niebezpieczeństwo.”

„Tak wielkiem nie jest ono znowu, znam przecież każdą drogę, każdą ścieżkę i niemal każde drzewo — odpowiedział Stefan powoli. — Miejcie się więc tymczasem dobrze majstrze Urbanie, a przed wieczorem dzisiaj obaczycie mnie z powrotem.”

Urban niemógł się dłużej sprzeciwić, dzielny chłopak niezważając na śniegawicę, odważnie puścił się w drogę.

Nie było to tak łatwem, przy takim powietrzu, przy takiej śniegawicy nie zmylić drogi i odnaleźć prawdziwą. Stefan jednak potrafił sobie poradzić i mimo śniegu i burzy dotarł do wsi, gdzie zastał szczęśliwie lekarza w domu. Opowiedział mu więc z szczegółami wszystkimi wypadek jaki wydarzył się dzisiaj rano a przestrzegający ściśle swoich obowiązków lekarz rozkazał natychmiast konia osiodłać, ażeby wraz z Stefanem udać się do chaty węglarza. Wieczorem przybyli obydwaj, a na wstępie zaraz okazało się, jak mądrze Stefan zrobił, że pobiegł po lekarza. Urban bowiem był roz-

gorączkowany, dreszcze dokuczały mu, a choreba zatrważająco pogorszyła się. Na szczęście zaopatrzył się wyjeżdżając we wszystko czegokolwiek tylko była potrzeba, więc zaraz po przybyciu usmierzył bodaj w części ból, któren tak bardzo dokuczał choremu. Oglądając chorego bliżej przekonał się lekarz, że tenże ma kilka zeber złamanych, a pierś strasznie zgnieciona, odwracając się więc do Stefana zawołał:

„Stefanie, zaprowadź konia mojego do stajni, muszę bowiem przez całą noc pozostać razem z wami.”

Posłuszny Stefan poszedł natychmiast, zaprowadził konia do stajni, którą Urban dla swoich kóz zbudował, położył przed nim wiązkę woniącego siana i powrócił znowu do chaty.

Przez całą noc prawie lekarz oka niezmrużył, chory bowiem co chwila potrzebował jego pomocy. Dopiero nad rankiem zasnął Urban, kiedy dreszcze mniej mu już dokuczały.

„Najgorsze chwile przebyliśmy — mówił lekarz do Stefana. — Prawdziwem szczęściem nazwać się to godzi, żeś niezwłocznie po mnie przyszedł, dzisiaj nietylko prawdopodobnie, ale całkiem pewnie wszelka pomoc lekarstwa na nic by się już nieprzydała. Czuwaj teraz tylko starannie nad twoim majstrom, a w krótkim czasie wszystko będzie dobrze.”

„Panie doktorze, czy to długo potrwa, zanim Urban zupełnie wyzdrowieje?” zapytał Stefan odchodzącego lekarza.

„Prawdopodobnie trzy lub cztery tygodnie będzie musiał przeleżeć w łóżku — odpowiedział lekarz. — Prędzej niepodobnie będzie, cierpliwości więc przedewszystkiem.”

W końcu pouczył jeszcze Stefana, jak ma z chorym postępować i jak go pielegnować i odjechał z powrotem do domu. Zasmucony i zbity tem wszystkiem Stefan długo spoglądał za odjeżdżającym.

„Smutne to i bardzo! — pomyślał Stefan — z czego bowiem my żyć będziemy kiedy niebędziemy mogli zarabiać? Ja sam niepotrafię drzewaukładać w stopy, a gdybym nawet i potrafił, to niemogę znowu Urbana samego pozostawić. A jakie następstwa tego?”

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SPOTKANIE.

KROTOCHWILA W JEDNYM AKCIE ZE ŚPIEWAMI Z FRAN-
CUZKIEGO, PP. CABOT FALLAIS I LETARGĘ.

(Ciąg dalszy.)

Herkules.

Cóż panna chcesz?... moja sakiewka podobna zupełnie do mojej głowy, — brak jej zawsze czegoś!

Julia.

A więc pański stan, lub zatrudnienie przynoszą mu tyle...

Herkules.

I owszem... mój stan lub zatrudnienie przynoszą mi wiele... nieprzyjemności... Jestem komissantem fabryki guzików.—Ale powiedz mi panna, jak się to dzieje aby osoba tak porządna, tak... znajdowała się o drugiej po północy na publicznym gościncu?..

Julia.

Byłam w teatrze.

Herkules.

I ja także!

Julia.

Gdzie cały wieczór jakiś głupiec, z takim natręctwem lornetował mnie.—

Herkules.

Lornotką?... prawda?... Czekał panna... byłaś na galerji?... *(obchodzi ją w koło, przypatrując się jej.)*

Julia.

Przy trzecim koszu kwiatów.

Herkules.

Naprzeciw drugiej fontanny.. przy tych wielkich makówkach.—

Julia.

Tak, dla tego omal nie zasnęłam.

Herkules.

Skutek zespolonych roślin i dramy... A więc panno.... powiedziałaś głupiec!

Julia.

Oh tak!

Herkules.

Bardzo dobrze — ten głupiec, to ja! Mimo jednak, oto co nam pozostaje mnie: ofiarować pannie, rękę, pannie, przyjąć ją w sposób przyzwoity i uczciwy. — Oh ja jestem szlachetny chłopiec! — Śmiało oprzyj panno twoją słiczną łapkę, na mojem najcieńszem suknie pięciofrankowem, i pójdźmy spacerować do białego dnia... — po polach Elizejskich...

Julia.

Dziękuję panu — mam inną myśl; moja ciotka mieszka stąd bardzo blisko; pójdę do niej żądać gościnność na tę noc.

Herkules.

Jak się pannie podoba! Ja zostanę tu, i będę robił obserwacye na księżycu bo od dawna chciałem się przekonać czy te dziury, które astronomowie w nim dostrzegli, nie uszkodziły znowadto jego fizjognomii *(kłania się.)* Panno... do przyjemnego nigdy nie widzenia się... *(Julia odwraca się) w podobnem położeniu.... (odprowadza ją w głąb na prawo)*

SCENA III.

Herkules *(sam wróciwszy.)*

Dziwna, — jej głosik zdawał mi się

nizupełnie obcy... i słuchając go, doznawa-
łem jakiegoś drzenia sercowego... O ile mó-
głem dojrzeć, figurka dosyć... Niewpada mi
nic do głowy na wyrażenie tego dosyć... a
jednak tak mi się zdaje jakbym widział już
coś podobnego,... Brrr... brrr... możnaby po-
wiedzieć że niby zimno! chyba istotnie chłód-
no! (*podnosi kołnierz paleotetu.*) Wszystko
jedno! ale zawsze szkoda, że nie jest wi-
dno w nocy, bo widzimy tylko, że nie nie
widzimy! — Jednakże piękna to rzecz noc...
dla tych co ją lubią! Ile zdarzeń miłosnych...
myśląc o ładnych ślepkach mojej nieznajo-
mej... których niewidziałem.

SPIEW NUMER II.

Herkules.

Wkrótce wielbić noc wypadnie,
Z nią tajemnych łotrostu zbiór,
Bo choć w noc kto działa zdradnie,
Przy dniu stawi go za wzór.

Paniez co pozorem świeci,
Moda go nazywa lwem.

W noc na biednych stawia sieci,
Zrywa ich zmorzonych snem.

Cóż ztąd? ten nikczemny krok,
Pokrył ślicznie nocy zmrok! —

2. Świetne stroje tamta nosi,
Lubo znany prac jej trud,

Jego wielu zacnym głosi.

Nie zajrzawszy w duszy brud!

Ten przy świetle dłoń podaje,
Skradłszy nocą biednych zysk,

W rząd pocziwych śmiało staje;

Ho!d zyskuje nocny błysk...

Zniknął by tych pochwał stok.

Gdyby dzień rozjaśniał zmrok!.

3. Dumny głupiec dniem się puszy,

Chociaż w głowie wieczny cień,

Mądry w biedzie z bólem w duszy,

Tamta głośnym jasną blaskiem,

Choć już nie wie co jest wstyd,

Skromność nie zna się z oklaskiem,

Włokąc ledwie srogi był.

Słowem każdy prawie krok,

Noc w dzień zmienia, a dzień w zmrok.

(*przechodzący.*) Gdyby mnie też przydybali
oszusty, złodzieje; (*wraca się.*) Szczęściem
nie mam przy sobie, a chociaż mam

wszystko co posiadam... ba! mam sygaro...
"Trotoaros"—pierwszego gatunku!... sto sous
za sto sztuk! — Zapalmy je, aby nas nie-
zrabowano (*wymuje*) Tak, ale jak zapalić?
wszystko co posiadam... ba! mam sygaro...
"Trotoanos" — pierwszego gatunku!... sto
sousza sto sztuk! — Zapalmy je, aby nas
niezrabowano (*wyjmuje.*) Tak, ale jak za-
palić? (*wylazi na ławkę.*) Za wysoko... co
za głupie urządzenie, zawieszac tak wysoko
latarnią (*patrzac w głąb na lewo.*) Aha oca-
lałem!... tam widzę gałganiarza, członka ko-
mitetu poszukiwań! (*schodzi z ławki.*) Po-
proszę go o ogień, jeżeli mu świeczka nie
zgasła jeszcze!... Hej! przyjacielu!... he! he!
panie z ogniem! (*Wybiega.*)

SCENA IV.

Julia (*sama wchodzi przedko.*)

Jakby umyślnie wszyscy odźwierni dzi-
siaj pogłuchli. Obawiałam się dzwonić za
mocno, żebym od gospodarza nie usłyszała
co nieprzyjemnego za hałasy w cudzym do-
mu... i będę musiała spać... (*ogłada się.*) Aha
ten młodzieniec widać był szczęśliwszym
odemnie, dostał się do swego pomieszka-
nia... Niczego jakiś młodzieniec, tak przy-
najmniej zdawało mi się dostrzedz z rysów
dopatrzonych w ciemności... I szczególna,
że głos jego przypomniał mi dawną jakąś
znajomość! Spróbujmy jeszcze, może Grevo-
uillard zlituje się nademną (*puka.*) Mój śli-
czny, mój piękny, panie Grevouillard! (*po
pauzie.*) mój stary gracie! niech cię lichu
porwie! Trzeba się wyrzec (*siada na ławce
pod jej domem.*) Co za szaleństwo, siedzieć
tak długo w teatrze! gdybym była wiedzia-
ła, byłabym przyjęła towarzystwo tego mło-
dego sąsiada! zdawał się tak uczciwym
chłopcem... byłabym miała teraz... a co naj-
ważniejsza, nie byłabym się tak lękała.

(Ciąg dalszy nastąpi.)